CENA 5 ZŁ

# NOWELE POWIEŚCI

[nr. 2]



**Wielki Konkurs dla wszystkich Czytelników!**

AGENCJA REKLAMY I WYDAWNICTW „REKLAMA" KRAKÓW, KROWODERSKA 6c

WIKTOR GROM




„Już leży na desce, ale gdyby mu do ucha o wieprzu coś szepnęli, bodaj, zrobiłby interes jeszcze. — Ale, że w rodzinie jeno wrzawa i rozhowory spadkowe, więc ś. p. Paskarz z miną dostojną, a obojętną leży na desce. Jeno, duszyna jego przysiadłszy na gałązce arokadii patrzy w oblicza rodzinki, ciekawa łez i westchnień żałobnych. A zmiarkowawszy, że „dranie" jeno forsę liczą, po szafach szperają, w niebosczyckie szaty się stroją, co mniej fasonowe na handel wynoszą — a zacne „ciało" nabijają w papierowe lakiery i takąż koszulinę — przeto strzyknąwszy ordynarnie przez zęby i mruknąwszy: „najświńsze świnie", otwartym oknem uleciała ku stacji zbornej.

Panował tam ścisk ogromny, bo to i papiery dokładnie badano, wyznaczono marszruty, przyjmowano i załatwiano podania itp.

Duch — Paskarz w mig zorientował się w sytuacji, wsuwał papierki na lewo i prawo — po godzinie już był na dworcu. — Z trzech możliwości: osobowy, pospieszny i kolejka linowa, wybrał tę ostatnią, wychodząc z założenia, że co już wisi, to nie utonie. Wpakował się do kabiny, kiwnął ziemi na pożegnanie i już po chwili śmigał na linoe w Nieznane.

Rozprostował kości na szczytowej stacyjce i zatrzymał się przed trójwskazem: „NIEBO — 5 km w górę, CZYŚCIEC — na miejscu, PIEKŁO — 5 km w dół".

Paskarz uśmiechnął się ironicznie, zadzwonił kiesą i pewny siebie ruszył w górę. Stanąwszy przed niebiańskim ogrodzeniem sapał utrudzon, przysiadł więc w rowie, by wypocząć, ochędożyć się nieco przed generalną prezentacją. I już mu się oczy ze zmęczenia do snu kleiły, gdy przed wrotami zjawił się Anioł i wyjąwszy dwa pióra z białego uskrzydlenia począł niemi śmigać po ścieżce, czyniąc przed wejściem stróżowskie porządki.

— Hallo! Serwus, panie Anioł — spoufalił się z miejsca pan Paskarz.

— Aha! — zdziwił się tamten, a salutując piórkiem powitał: — Uszanowanie radcuniu!

— „Kolega" z Krakowa, co?

— A jakże, „krakowski aniołek"!

— „Aniołek", co? — Paskarz przymrużył znacząco oko.

— A jakże, co tu owijać w męską bieliznę... Przydarzyło się matuli, odsiedziała swoje, a ja sobie tu niczego... na stanowisko wyszedłem i jak pan widzisz...

— Piórkiem ten — tego... Całkiem owszem... — z ironią skonstatował Paskarz.

— Ek, panie dzieju, nie tylko piórkiem, ale i wartę tu trzymam...

— Ale! Honorową?

— Gdzie tam! Całkiem serio! Awizowali nam z dołu okropnego... — anioł rozglądnął się wokoło i szeptem powiedział: — draania!

— ?

— Krwiopijcę!

— Wampira!?

— Gorzej, duchuniu! Superpotworka!!!

— Co kolega gadasz? Ale człowiek przecie?

— Ano człowiek, a właściwie pokaranie boskie na dwóch szkitach. Awizowali nam p a s k a r z a! Brrr! — otrząsnęło się anielisko, aż mu puder z piórek opadł i białą chmurą osłonił.

— Ak-ha! — zrozumiał przybysz i koraliki strachu osunęły mu się po grzbiecie.

— A pan do nas? Na pewniaka? — zaindagował anioł.

— A jakże! Papiery mam...

— Ek, papiery! Jak tam grzeszki?

— Siedem głównych i ze czternaście pobocznych.

— Hm, bywają tu i tacy... Ale trudno będzie...

— Niby co?

— No, do nieba...

— A nie da się posmarować?

— An du-du! Forsy tutaj nikt nie potrzebuje, w szachy gramy o całuska, w ping-pong o klapsa, a fryganie mamy darmo...

— Ale możeby tak boczek wędzony?...

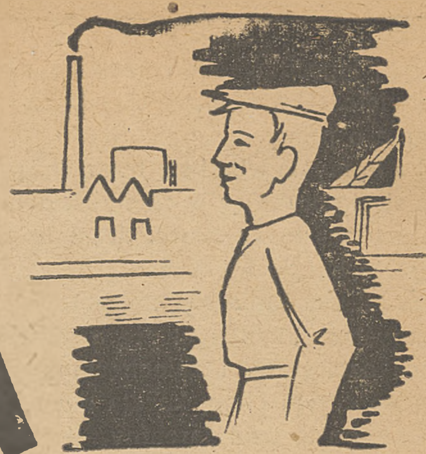
— Phi! Całe połcie!

— A bil, słoninka, kiełbaska krakowska z czosnkiem! Z czosnkiem, uważasz kolega!

(Ciąg dalszy na przedostatniej stronie).

ST. WÓJTOWICZ (1939 r.)

# Szczęście Kolombika



*Nowela*

Długa, zimowa noc leżała jeszcze na świecie, gdy Kolombik rozwarł oczy i wpatrzył się w ciemnię, zalegającą budę, w której mieszkał wraz z rodziną. Skierował wzrok ku okienku, szukał na nim blasku, zwiastuna wstającego dnia. Za łataną, paskami papieru posklejaną szybą, czerniła się noc; tylko w dali, na krańcu horyzontu, leżała przy ziemi jasna i szła w górę mglista, żółtym blaskiem świecąca łuna świateł odległego miasta.

Kolombik przewrócił się na bok na swym legowisku, a wtedy odczuł silniej dręczący go uparty ból głowy, żołądka i gorące pieczenie, idące przez skręty kiszek. Niezaspokojony głód, kilkudniowa udręka okrutnego łaknienia, przypominały się w bólach i słabocie ogarniającej ciało chłopa. Kręcąc się na legowisku obudził snać śpiącego z nim chłopca, bo ten gwałtownie przytulił się do niego, szukając ciepła i ciągnął na siebie połę podartej kurtki, stanowiącej ich wspólne okrycie. Kolombik otulił go troskliwie i delikatnie, by go do reszty nie rozbudzić. Bał się jego wołania o chleb. „Jeszcze godzina, a będom wołać o żarcie, a skąd tu wziąć... psiakrew!" — klął w myśli.

Skąd wziąć?... — ta myśl siedziała w nim całą noc, nie pozwalając mu zasnąć spokojnie i choć na chwilę zapomnieć o dręczącym go głodzie. To co przez dzień zdobywał, oddawał czworgu dzieci i żonie, karmiącej najmłodsze; sam odwracał oczy od jedzenia, wymawiał się, że już jadł, bo wiedział, że to, co do budy przynosił, nie wystarczało na nasycenie głodnej i wiecznie o jadło dopominającej się dziatwy.

Niosąc do budy po całodziennym trudzie zdobytą garść jadła, przeżywał straszną mękę. Brała go ochota usiąść gdzieś na przydrożnym kamieniu i zjeść wszystko, co miał w kieszeniach, nażreć się raz do syta i choćby nie pokazać się na noc w budzie. Niech robią, co chcą! Jedzą przecież codzień, jeśli raz „popasują", nic im nie będzie. I już tkał garście do kieszeni kurty, by z nich wydrzeć zdobyty chleb i pchać w siebie bez miary, ale wtedy przed oczyma jawiły mu się głowy dzieci; szeroko rozwarte, rozgorączkowane oczy patrzyły w niego jak w cudotwórcę, który niesioną odrobinę chleba rozmnoży i da im jeść do syta. „Tatu, jeść" — głosy skrzekliwe wgryzały mu się w uszy i nie pozwalały zapomnieć o ojcowskim obowiązku. Jawiący się przed oczyma obraz głodnych dzieci hamował pragnienie połknięcia niesionych skromnych zapasów, drobne kruszyny chleba wydobywał z kieszeni i niósł do ust. Ale to oszukiwanie siebie podwajało mękę głodową, szczęki zwierały mu się w skurczu bolesnym, zaciskały zęby ze zgrzytem, chciały gryźć, mleć masy chleba, bochny ogromne i pchać je w rozpalone głodowaniem trzewia. Kruszyny chleba plątały się po wysuszonym gorączką języku i nie chciały iść w zaciśnięte gardło.

Przyszedłszy do budy, wyrzucał szybko przyniesione jedzenie z kieszeni i odwracając o dniego oczy wychodził na dwór, by drzewa narąbać, a że go nie było, więc plątał się koło budy, zbierał jakieś szczypki — malizny, patyczki, by trochę ognia w piecu niecić i czekał, by zdążyli zjeść wszystko bez niego. Obawiał się, że gdy wróci zawcześnie, to się nie opanuje i powyrywa żonie, dzieciom te drobne kęski chleba, co ich całodzienny głód zaspokoić miały. A potem przychodziła noc głucha, bezsenna, pełna męki bolesnej i niespokojnej troski o jutro. Byle ino wstać jeszcze!

Podniósł się Kolombik z posłania, wciągnął na siebie kurtkę i cicho, skradając się jak kot, by nikogo nie obudzić, podszedł do konwi stojącej w kącie budy, wolno wciągnął w usta trochę wody, łyknął raz, drugi, odczuł pewną ulgę w boleściach trawiących mu wnętrzności. Opryskał wodą twarz, obtarł niedbale rękawem kurty i naciągnąwszy czapkę na głowę bez szmeru wysunął się z budy. Na dworze poczuł się nieco lepiej. Otrzeźwiło go mroźne powietrze i z grzbietu odpłynął przyczajony strach przed wołaniem dzieci, którego teraz nie usłyszy przez cały dzień. Byle ino wrócić szczęśliwie i przynieść coś. Żeby ino robotę jaką złapać!...

Robotę! Śniło mu się co noc, że pracuje i już o nic i nikogo nie prosi. Żądnej jałmużny, żadnych darów, co zdolne do pracy ręce palą, jak rozpalone głownie; tylko, pracuje Kolombik ciężko, ale ochotnie; całą siłą mięśni, ofiarą wszystkich sił płaci za wymarzone dobro największe — za robotę, za którą weźmie należną zapłatę; dzieciom, żonie da jeść i sam będzie jadł do syta, — za swoje. Budził się znękany ogromem pracy przecho-

dzącej jego dawno wyczerpane siły i w okrutnej rzeczywistości, w głodowych bólach snuł dalej senne marzenie o pracy.

I z tą myślą wlókł się teraz drogą do miasta, zataczając się i potykając w ciemnościach. Ogromny, wyczerpujący resztę sił kawał drogi leżał przed nim. Zanim dojdzie, będzie już dzień.

Szedł mechanicznie, nie patrząc na drogę, pogrążony w myślach kłębiących się w głowie. Ogarniała go rozpacz ostateczna i zniechęcenie. Słabość, rozchodząca się po całym ciele, kazała mu usiąść i nie ruszać się wcale, bo to trud daremny, — przed nim nie kończąca się męka. Niech się dzieje co chce! — ale instynkt jakiś przemożny kazał mu iść, walczyć dalej i do ostatka o życie tej garstki swoich. Tliła się jeszcze w nim jakaś skra nadziei, że to zło przecież przeminie. Szedł więc wciąż dalej zamyślony i ani zauważył, kiedy dnieć zaczęło, a wreszcie jasny dzień rozlał się dokoła. Mróz dokuczał mu dotkliwie, ruch go nie rozgrzewał.

Doszedł wkońcu do miasta. Pchany teraz jakąś żywszą nadzieją, podreptał do znajomego sobie biura Pośrednictwa Pracy. Pobierał tam kiedyś jakieś nikłe zasiłki, zapomogi, ale to już dawno się skończyło. Wsunął się w ciżbę ludzką, pchał się ku okienkom. Gorąco panujące w hali oblało go z początku miłym ciepłem, ale wnet zaduch i mdły, gryzący swąd dymu machorkowego, poczęły go morzyć, zapierać dech, szło na niego jakieś senne omdlenie, ból w żołądku ustąpił nieznośnym nudnościom: zimny kroplisty pot obsiadł mu czoło. Wysunął się z tłoku, podszedł ku otwartemu oknu. Było mu tam lepiej, ale za to stał w tyle masy, zebranej przed urzędowymi okienkami i w razie potrzeby inni mogli go ubiec.

— Trzech ludzi na kolej! — wypadł głos z okienka.

W masie robotników zakotłowało. Ścisnął się kłąb ludzki koło okienka, las rąk z książeczkami kontrolnymi wytrysnął w górę. Na miejsce trzech pchało się ich trzystu.

Kolombik zelektryzowany głosem urzędnika, napół przytomny runął w ciżbę, jednego tylko świadom: dostać się do okienka za wszelką cenę. Pracował rękami, jak pływak prący przeciw fali, darł się naprzód nie bacząc na nic. Wokoło podniósł się zgiełk i wrzask. Naraz ktoś z tyłu chwycił go za kołnierz, zatrzymał na miejscu, kilka par rąk zczapiło go za rękawy i poły kurtki. Szarpany i wleczony wypadł z powrotem na tyły tłumu.

Wzniesione w pogróżce ręce zawirowały mu przed oczami, przekleństwa posypały się na niego, ogłuszając i tumaniąc go do reszty.

— Fetniak, psiakrew, pcha się, jak minister!

— Kopie, depce i szturo, jak koń, cham zatracony!

— On pirszy, widzisz go, łamagę!

Kolombik, zataczając się, wrócił pod otwarte okno, ogromnymi haustami brał świeże powietrze w płuca. Było mu niedobrze, słabo, nogi trzęsły się i gięły pod nim, w mózgu i uszach waliły młoty kowalskie, skry czerwone migotały przed oczyma.

— Nic tu nie wskóram, nie dopcham się — pomyślał i wyszedł z hali.

Postał pod ścianą aż wytrzeźwiał po zaduchu i ruszył przez miasto.

Szedł bez myśli w zupełnej rezygnacji. Mijał ulice, obijał się o ludzi, toczył się na chwiejnych, jakby gumowych nogach, wpijał wzrok w uciekające pod stopami płyty chodnika. Stępiał zupełnie, zobojętniał na wszystko, wlókł się jak automat.

Cierpienia wywoływane głodowaniem, powoli ustawały, a jakaś błogość w nim rosła, w głowie mu jaśniało. Nawet mróz przestał mu dokuczać zupełnie.

Oderwał wzrok od ziemi i spojrzał przed siebie. W szachownicę pokrajana taśma chodnika biegła przed nim w dół, urywała się w dali przed wybrukowaną, mocno pochyłą szkarpą. Dalej w dole pieniła się szeroka, brunatna, zwałami kry pokryta wstęga Wisły.

— Chyba się utopić — ozwała się w nim pierwsza jasno pojęta myśl.

I nie zdziwił się jej wcale, ni wzdrygnął przed nią. Przyszła, jak coś oddawna przygotowanego, tak, że uśmiechnął się teraz do niej, witał radośnie, jako w porę przychodzące wybawienie z ciężkiego kłopotu.

— Bedom na mnie w budzie czekali, a ja tu... we Wiśle, hę! — zarechotał zadowolony i rozweselony złośliwym figlem.

. A wtedy gdzieś z dali, niesione z szumem i pojękiem zimnego wiatru od rzecznej fali, opadły go dziecięce, tkliwie proszące znajome mu głosy.

— Tatulu, chleba — wołał Kazik, czepiając się jego spodni i stając na palce, by mu zajrzeć do kieszeni kurty.

— Mnie, mnie daj, tatusiu! — krzyczała Marcysia, wyciągając ku niemu proszące dłonie.

— Tatusiu jeść — zawodził malec, okutany w szmaty, zwinięty w ciemny kłąb na sienniku.

Z rąk żony, wpatrzonej w niego rozwartymi, pytającymi oczami, rwało się ku niemu maleństwo, instynktem jakimś czujące, że gdy on do domu przychodzi, to będzie mleko i może bułeczki kawałek.

Kolombik otrzeźwiał. Przyparł się do bariery otaczającej stromy brzeg, przetarł oczy, spędzając z nich zwid bolesny i jęknął głucho. Boleść, którą rodziła okrutna bezradność zatargała mu piersią i ścisnęła serce.

— Psiakrew — warknął w bezsilnej złości. Zacisnął kłęby pięści i oparł je na skroniach, chłodząc rozhukane tętno.

Do uszu jego doleciał szurgot i skrzyp żelaznych szufli, łomot i trzask zrzucanego węgla. Spojrzał w dół. Na torze nadbrzeżnym stały wagony pełne czarnego węgla, skraszonego białymi plamami wapna. Na wagonach stało kilku robotników, szuflujących zamaszyście węgiel do podstawionych wozów. „Mają robotę" — pomyślał Kolombik i wpatrywał się z zazdrością w pracujących. Naładowane wozy odjeżdżały, spiesznie podstawiano próżne, robota szła nieprzerwanie. W pewnej chwili przyjechał na rowerze jakiś młodzieniec w skórzanej kurcie, obejrzał wagony i zawołał:

— Hej, ludzie! a dacie radę władować do zmroku?

— Trudno będzie panie! — odpowiedział starszy z pracujących.

— Koniecznie dziś trzeba władować, bo nam postojowe wlepią i stary się wścieknie — zdecydował młody człowiek.

— Chyba nie poradzimy, bo już dość późno — oznajmił ten sam robotnik, ocierając pot z czoła.

— To wam kogoś poślę.

— Zdałoby się.

Kolombika przeszło mrowie ogniste. Skoczył pod poręcz i z chrobotem okutych butów zjechał po skarpie na dół.

— Ja panie... pomogę — jęknął, stając przed osobnikiem w skórzanej kurcie.

Ten spojrzał na niego krytycznie.

— Silnych ludzi mi potrzeba.

— Ja panie za dwóch podołam — reklamował się Kolombik. Barami wzruszył jakby moc jakąś nadzwyczajną chciał zademonstrować.

— Hej, tam, Mareczek! Macie tu pomocnika — krzyknął ku starszemu robotnikowi.

— Jak się będzie lenił, wywalić, przyślę innego!

Wskoczył na rower i odjechał do miasta.

Kolombika zalało nagłe szczęście. Stał zmartwiały, nie wiedząc co z sobą począć.

— Właźże na wagon! — zakomenderował Mareczek.

Kolombik podskoczył ku wagonowi, chwycił się klamry i wciągał się na platformę. Ale brakło mu sił. Z przerażeniem stwierdził, że jest zupełnie wyzuty z sił, a więc do pracy niezdolny.

— No, nuże! — zachęcał ostro Mareczek.

Kolombik, trzymając się klamry, wsparty jedną nogą na osi wagonu, podskakiwał na drugiej, chcąc wskoczyć do wozu. Czerwieniał z wysiłku, ale nie mógł oderwać się od ziemi.

— Ciarach jakiś — warknął robotnik stojący w wagonie na kupie węgla.

— A właźże do licha! — huknął Mareczek, schwycił Kolombika za kołnierz i jak ciężki wór wciągnął go do wagonu.

— Tu masz łopatę — rzekł, wręczając Kolombikowi potężną szuflę.

Ten zasapany i zmęczony wziął szuflę w rękę, drugą obcierał pot z czoła.

Mareczk patrzył na niego z podełba, czekając aż weźmie się do roboty.

Wreszcie Kolombik splunął w garście, zebrał się w sobie, uchwycił mocno szuflę i wgryzł się w kopicę węgla. Pełną szuflę dźwignął z ogromnym trudem. Drżały mu ramiona i nogi, przed oczyma migotały złowróżebne płaty czerwone i czarne. Postąpił na brzeg wagonu ku podstawionemu wozowi, całym ciałem wziął rozmach i resztą wszystkich sił rzucił węgiel na wóz. I w tym momencie nie znalazłszy oparcia w osłabionych nogach, stracił równowagę i jak bezwładna bryła, całym ciałem runął na węgiel na wozie. Stracił przytomność.

— Oferma zatracona — ryknął śmiechem jeden robotnik, a za nim zarechotali inni.

Nie śmiał się tylko Mareczek, który cały czas uważnie obserwował Kolombika. Jednym susem znalazł się na wozie i odwrócił nawznak zemdlonego. Ten leżał z zamkniętemi oczyma; cienka nitka krwi sączyła mu się po twarzy z rozbitego czoła.

— Omdlał — mruknął Mareczek — Jansik! — krzyknął ku robotnikom — śniegu dawaj!

Robotnicy porzucili szufle, zaciekawieni podchodzili do wozu.

— Jemu cosik jest — zauważył jeden patrząc na posiniałą twarz Kolombika.

— I mnie się tak widzi — mówił Mareczek. — Zara zmiarkowałem, że z nim coś nie w porządku. Ślipia mu się skrzyły, a trząsł się cały jak w fybrze.

Jansik podał garść śniegu, a stary natarł nim skronie Kolombika i w usta kładł mu białe grudki.

Kolombik wolno otwarł oczy i mglistym spojrzeniem powiódł po otoczeniu, spojrzał na pochyloną nad nim twarz Mareczka.

— Co wam jest? — spytał stary.

— Słabo, jeść... — szeptem odpowiedział Kolombik.

— Dawno nie jedliście?

— Nie wiem... chyba dawno.

— Hm...

— A do roboty się najął! Słabota — zarżał jeden z robotników.

— Nie śmij się głupcze! A co miał robić? Kraść? Jansik podaj mi tu moją manierkę. Napijcie się przódy kawy, to was skrzepi, potem zjecie coś.

Podaną manierkę przytknął Kolombikowi do ust. Ten pił łakomie choć wolno, bo mu Mareczek często od ust odrywał, by się nie zakrztusił.

Miłe ciepło ogarniało wnętrzności, ale z tym po członkach rozchodzić się zaczął bezwład jeszcze większy. Rozbita głowa zabolała go dotkliwie. Czuł, że do pracy jest już teraz zupełnie niezdolny i ogarniał go strach o utraconą możność zarobkowania. Poczuł żal do samego siebie. Patrzał na pochylonego Mareczka, to na otaczających go robotników, szukał w ich oczach jakiegoś ratunku dla siebie, rodziny. Na twarzach robotników po pierwszych wybuchach śmiechu i kpin, na widok niezaradności i upadku Kolombika, malowała się teraz powaga i zadumanie. Poczęli sobie uświadamiać jego położenie i stan fizyczny, pojmowali nędzę tego bliskiego im człowieka — robotnika. Z pomroki zapomnienia, jaką daje praca i bytowanie za własny zapracowany grosz, snuły się im po głowach wspomnienia chwil własnej niedoli, dni własnego upadku, biedowania, a czasem głodu.

Za wspomnieniami przychodziło współczucie i pomrukiem poszło po grupie zebranych. Kiwali głowami, wyrażając zrozumienie, wreszcie zaszeleściły rozwijane papiery, gazety, rwali kawały chleba suchego, czy smarowanego, podsuwali Kolombikowi, — dzielili się z nim własnym posiłkiem. Bo to dziś on, jutro może ja...? Któryś wyciągnął z kieszeni czystą białą szmatkę

i przewiązał obmytą śniegiem ranę na czole Kolombika.

Kolombik przyjmował te dary i objawy serca z wdzięcznością i rozrzewnieniem. — Z początku nieśmiało, ale wnet łapczywie chłonął darowane jadło, pchał w siebie ogromne skiby chleba, zapijał podawaną kawą, czy herbatą i jadł i jadł, aż poczuł bolesne zmęczenie szczęk, które odwykły nieco od takiej pracy. Krzepił się Kolombik, a w miarę jak zapełniał żołądek ustępowały dolegliwości wewnętrzne, uchodził gnębiący ból głowy.

Mareczek wpatrywał się w niego i dumał nad czymś poważnie. Wreszcie rzucił:

— Rodzinę macie?

Kolombik przytaknął głową, a połknąwszy kęs chleba wyjaśnił: Żonę i czworo małych...

— A jakże z nimi? — badał stary.

Kolombikowi łzami zaszkliły się oczy, odsunął od ust jedzenie i machnął ręką z rezygnacją.

— Co tam mówić. Głodują i tyle.

I wtedy stanęła mu znów przed oczyma cała jego nędza, ogarniająca go łachmanami niedostatku, — z którą borykał się już tak dawno i bezskutecznie. Zjawił się obraz tych wychudzonych istot, jego żony i dzieci wpatrzonych w niego szeroko rozwartymi oczyma, z niemym wyrzutem za dolę i życie. Gorycz jakaś od serca pchać się poczęła ku gardłu, wreszcie ścisnęła za grdykę i Kolombik wstrząsany szlochem z rykiem i charkotliwą skargą rzucił się na kupę węgla.

Robotnicy wzruszali ramionami, świadomi swej niemocy wobec nędzy towarzysza, odwracali głowy, by ukryć wzruszenie, żuli przekleństwa, cisnące się im na wargi.

W tej ciszy, przerywanej tylko szlochem Kolombika, zagrzmiał Mareczek:

— Chłopy, same dziady jesteśmy, ale zawdy robota jest i jako tako żyjemy. A tu widzicie, trza coś radzić. Miał nam pomogać, ale nie podoli. Weźma się chłopcy do roboty, tak za siebie i za niego, coby stary gęby nie krzywił, a ja potem z nim pogadam, może go zatrzyma. Jak się chłop skrzepi, to będzie mógł robić nie zgorzy od nas. Co myślicie?

— Ha, no, trza pomóc, jak się da — mruknął jeden.

— Co tu gadać, bierma się do roboty, bo czas ucieka — rzucił drugi. Splunął w garście, chwycił za łopatę i skoczył na wagon.

Za nim poszli inni. Zatrzeszczały łopaty o żwir węglowy i huczeć poczęły zwały węgla, lecące na wozy. Ruch się zrobił, hurgot i łoskot ogromny. Garstka robotników, zmęczona całodzienną prawie robotą, pracowała teraz z nową ochotą, zawzięcie, jakby nowe siły w nich wstąpiły. Skrzepiła ich myśl, że swoim wysiłkiem niosą pomoc, życie bliźniemu i jego zgłodzonej gromadce. W prostych umysłach rozświetliła się i utrwaliła jedna myśl: Trza pomóc — a pomoc dać mogą tylko ich bary i muskuły rąk. Skupili się więc w sobie, sprężyli i gryźli zwały węgla, rzucali na wozy spowici czarnym tumanem pyłu i białych mgieł, wyrzucanych z rozpalonych robotą piersi.

Mareczek wziął Kolombika za ramiona, przeprowadził z wozu na wagon i posadziwszy w oczyszczonym z węgla kącie nakrył go kurtami, zrzuconymi przez robotników i sam uchwycił w garście łopatę.

Uciekały ostatnie godziny pracy. Wozy dudniły po bruku, dzwoniły łańcuchami, wywoziły węgiel z nadwiśla. Gdy wreszcie szarzeć poczynało, zadźwięczały szufle po dnach wagonów, oczyszczano je z resztek węgla — robota była skończona.

Mareczek obudził Kolombika. — Lepiej wam?

— O tak, mogę się wziąć do roboty.

— No, roboty to już dziś dla was nie stało, ale zbierajcie szuflą resztki z wagonu, to się rozruszacie i rozgrzejecie.

Kolombik posilony i wypoczęty ochotnie wziął się do tej lekkiej pracy, a świadomość, że już może coś robić i robi naprawdę, napawała go szczęśliwością.

Kiedy ostatni wóz ruszał spod wagoów, przyjechał młodzieniec w skórzanej kurcie, zlustrował wagony z pomocą Mareczka i robotę pochwalił.

Pogadał z Mareczkiem na uboczu i w pewnej chwili zbliżył się do wagonu, na którym stał Kolombik.

— Podobno nieźle pracowaliście. O! nawet widać to po was — zaśmiał się na widok usmarowanego oblicza Kolombika. — No, Mareczek tu za wami obstaje, a że mi trochę teraz ludzi potrzeba, to przychodźcie od jutra do roboty.

— Dziękuję panu — drżącym głosem wykrztusił Kolombik.

— Tu macie zaliczkę, bo podobno u was źle. Potrącę przy wypłacie. Jutro przyjdziecie z papierami do biura.

Skoczył na rower i odjechał.

Kolombik stał osłupiały na wagonie i patrzył na robotników, zbierających się do odejścia.

— Jutro do roboty — wyszeptał.

A gdy uświadomił sobie dostatecznie ogrom szczęścia, zdarł czapkę z głowy i wyciągając dłonie do gromady, ryknął:

— Chłopy, dziękuję wam! Cholera! — grzmotnął czapką o ziemię. — Wiecie! Jutro idę do roboty — i począł się śmiać całym gardłem. Krzyk radosny rozpierał go, rwał mu piersi, ryczał więc z całych sił. — Jutro, cholera, do roboty — i wywijał zaciśniętymi pięściami, bił się po udach, tupał nogami, wariował.

Zeskoczył z wagonu i ściskał wyciągnięte doń dłonie. A gdy dopadł Mareczka, wziął go w uścisk serdeczny. Stary, zduszony, z trudem wykrztusił:

— Daj ci, Boże.

Ruszył Kolombik do domu. Maszerował oświetlonymi ulicami, wpadał do sklepów, kupował żywność, niecierpliwymi rękami chwytał towar, wybiegał, szedł dalej i znów wpadał do sklepiku, by kupić coś co mu myśl przywiodła, czy wystawa sklepowa przypomniała.

Obładowany paczkami, kroczył ciemną drogą do swej budy za miastem. Szedł raźno, miejscami biegł gnany niecierpliwością okrutną, w ustach żuł wieść radosną, co mu z myśli nie schodziła. Prężył i zaciskał ramiona, sposobiąc się w myśli do pracy. Marzenie przegłodowanych dni i nocy spełniło się. Biegł bijąc mocno nogami w ziemię, deptał nędzę — potwora, biegł do domu pognębić zmory głodu i chłodu, co mu najdroższe istoty nękały.

Gruchnął całym ciałem w drzwi, aż buda zadygotała. Wpadł do izby jak burza, z łoskotem rzucił na stół przyniesione paczki. Zdarł czapkę z głowy, zasapany stał na szeroko rozstawionych nogach i roziskrzonymi radością oczyma patrzył na swą oniemiałą z przerażenia gromadkę. Odsapnął trochę, po czym wskazując na stół, wyrzucił z siebie:

— Jedzcie! Jedzcie, ile chcecie! Matka! Jutro idę do roboty! Rozumiesz? Do roboty!

I upojony ogromnym szczęściem, chwycił żonę w ramiona, zawirował nią w powietrzu i zdusił w serdecznym uścisku.

— O laboga! Ady mnie udusisz!

Pieścił żonę i patrząc wciąż jeszcze na uśmiechniętą gromadkę dzieci, krzyknął:

— Dzieci! Uważojta. Ociec idzie jutro do roboty!

I w tej chwili padł na pobliską ławę i zapłakał ze szczęścia.

(Dokończenie ze strony 2-giej)

— Wcale nam nie imponi!

— A cukierek, miodek, zelóweczki, hę?

— Nic nam po tym!

— A porcięta, przedwojenne, prosto z igły?

— Hi, hi, hi — zakwilił Anioł i klepnął się po niepokalanej nagości. — Bracie, u nas Nagie Piękno!

— To czym u was, do cholery, można zahandlować?

— Ho, ho!!! Mam cię, brachu! To ty jesteś, gadzino! — huknął anielic, machnął skrzydłem i skoczył za płot. I zanim zirytowany Paskarz rozejrzał się w sytuacji, już tuzin białych skrzydlaców chwycił go za orzydle, rozchuśtali brata i: — Fiuuut! — bęc, bęc, bęc — nagim siedzeniem po kamienistej drodze, zjechał nasz pasażer 5 km w dół przed wrota Czyśćca. Nie zdążył jęknąć, ni natrzeć boleśnie potłuczonych części, gdy kilka par rąk wpiło mu się w czupryne i z wrzawą czyśćcową pociągnęła go czarna brać za bramy przybytku.

— Mamy czwartego! — ryczało ogromne towarzystwo i biło brawo z wszystkich sił. — Niech nam żyje! Niech nam gra i wygrywa! Hip, hip — rrra, rrra!!!

Nasz potłuczony bohater, ochłonąwszy z przerażenia, skonstatował, że siedzi obecnie przy zielonym stoliku w pośrodku okrągłej sali. Wokół piętrzyły się ławki wypełnione kibicami do ostatniego miejsca. Delikwenci mieli usta zamknięte ogromnymi kłódkami, ręce łańcuchami przykute do ław, bezsilni ryczeli tylko tubalnie przez nos i mdleli w siódmych potach. Galerię zalegały tłumy rozbawionych, wrzeszczących, wiwatujących diabłów. — Paskarz spojrzał na zmaltretowane oblicza partnerów.... i dostał gęsiej skórki.

— Panie kolego, gracie w karty? — huknął ten z przeciwka.

— Owszem, w „durnia"! — z dumą oznajmił nasz znajomy.

— Brawo! — ryknęli diablowie.

— Uuuuyyych! — zawyli kibice-bridżyści, wijąc się w mękach.

— Będziesz grał w bridża!!!

— ???

— Powiadam w bridża! Oponuje kolega? Tu jest czyściec, tu się wysługuje raj! Tu jest męka, ostatni pot i nerw... Ten, który tu był przed tobą, po trzydziestu latach... poszedł do piekła na ochotnika! A więc strzeż się! Ja, redaktor „kącika bridżowego", już pięćdziesiąt lat bez przerwy gram tutaj w bridża z tymi oto durniami, którzy za życia tylko w „durnia" grali. — Ty obejmujesz wakujące stanowisko. Ale ja wytrzymam, wytrzymam psiakrew — zmasakruję, posiniaczę oblicza i za pięćdziesiąt lat uwolnię się od was — bęcwały!

— Brafffo! Rżnij redaktorku! — huknęli diabełkowie.

Redaktor usiadł zachrypnięty i rozdał błyskawicznie karty. Spojrzał w swój karciany wachlarz, złożył go i — rzucając karty na stół — zachrypiał:

— Dwa kiery!

Wbił zeza w swego partnera i zmartwiał poważnie.

A teraz trzej spece o „durnia" poczęli szaleć: kopali się pod stolikiem, mrugali na się, wygwizdywali umówione hejnały, zaglądali sobie wzajem w karty, bębnili po stole... w ogóle: czyściec. Kibice potnieli, mdleli, wyli, spazmowali, śmiali się do trzecich łez — bo to był ich czyściec.

Galeria: — Byyysss!!!

Po chwili redaktor ocknął się i ryknąwszy: Dwa kiery, mówiłem! — wyrżnął na odlew partnera z lewej.

Ten znalazłszy się na ziemi, zakwilił: Trzy razy „dzwonka"!

— Nie bądź kolega wieprzem, na czterech chłopa zamawiasz trzy dzwonka? — Cztery dzwonka na moje konto, albo po całym śledziu dawać chłopom! — oburzył się nowicjusz.

— Hu, hu, hu! Udał nam się — zaśmiała się galeria.

— Gadaj pan co do rzeczy! — redaktor bił pięścią w stół.

— Cztery „Wina" — zapowiedział Paskarz.

— Panie, pan też z Krakowa?

— Ma się wi, panie redaktorze!

— Pięć w żołędzie! — licytował następny.

— Szlemik w serca!

Paskarz nie wytrzymał:

— Furda serca, całe płuca na kwaśno i wódę dla całego towarzystwa i zagrychę, wszyscy na moje konto! Na dobry początek! Pal sześć karty! Forsa jest, forsy nie ma! Bawimy się koledzy najmilejsi!

Wskoczył na stół, przytupnął i potrząsając kiesą pokrzykiwał z animuszem:

— Było, nie było! Jak się bawić, to się bawić! Niech kosztuje co chce! Jutro robimy interesiki na nowo! Panowie uszy do góry i pod Sukiennice!

— Tuś mi wlazło paskarskie nasienie i zarazę w porządnym towarzystwie siejesz? — ryknął młody Lucyper i poskoczył do stolika, za nim hurma diabłów pospolitych. Złapali Paskarza za gnaciska — z wrzawą wytaskali za bramę i zepchnęli go dalsze 5 km w dół.

Gdy stanął przed Piekłem zastał bramy jego na cztery spusty zamknięte.

Zmarzłszy setnie i spokorniawszy do cna zastukał we wrota:

— Wpuśćcie panowie łaskawi...

Lucyper starszy wybałuszył oko przez „judasza", a ujrzawszy pasażera, wrzasnął jak oparzony:

— Poszła won, zaraza!

Zeszedł Paskarz na skraj góry i usiadłszy nad przepaścią, zapłakał z tęsknoty za daleką Ziemią i... Piekłem.






Drukarnia I pod zarządem państwowym, Kraków, Wielopole 1. M—05040